

Romuald Pawlak

Krótki sen o opisanii świata

Yannuris odłożył pióro na pulpit i przeciągnął się z westchnieniem. Stare kości bolały go coraz częściej. Już nie wytrzymał całego dnia spędzonego nad księgami jak kiedyś, w latach młodości.

Cóż, dzieło jego życia będzie musiało poczekać.

– Panie mój? – Niemal bezszelestnie pojawił się Drahi, jego sługa dotąd skryty gdzieś pomiędzy regałami biblioteki. Był niemal równie stary jak jego pan. Obaj dożywali kresu swych dni na szczycie Więziennej Góry. – Życzysz sobie, by przygotować kąpiel?

– Chyba już i tak niewiele bym zrobił – z westchnieniem przytaknął Yannuris.

W jego głosie zabrzmiała nuta żalu. Odsunął się od pulpitu. Niech wszystko zostanie tu, jak leży: księgi, narzędzia, mapy. Niczego nie będzie zabierać, bo i po co?

Po raz ostatni rozejrzał się po bibliotece. Powiedzieć, że była świetna, to jak bicze gwałtownej jesiennej ulewy, rozpryskujące się na stromych stokach góry z energią pioruna, nazwać ledwie paroma kroplami wody rzuconymi na rozgrzany piasek pustyni Nev. Zostały tu zgromadzone wszystkie księgi, jakie kiedykolwiek napisano w języku archandyjskim. Cała wiedza cesarstwa od pokoleń gromadzona była w dwóch identycznych bibliotekach: oryginały nowych dzieł trafiały do pałacu samego cesarza, zaś ich wierne odpisy czy kopie na *Ueni Ambę*, Więzienną Górę. Żyły tu w przyjaźni z dziełami w innych językach, księgami, które kolejnym cesarzom udało się dostać w darze, wymienić, ukraść czy pozyskać innym sposobem. Były tu mądrości wrogów, przyjaciół albo neutralnych sąsiadów cesarstwa Archandu. Ludzie mogli ze sobą walczyć, lecz dla ksiąg nie miało to większego znaczenia. Wrogiem jednej wiedzy nie jest przecież inna wiedza, lecz ignorancja, ciemność, barbarzyństwo.

Jednak obce księgi głoszą odmienne prawdy, tak jakby opisywały zupełnie różne światy – snuł chmurne myśli Yannuris, podążając za swym sługą pustym, chłodnym korytarzem. – A przecież Archand dzieli granicę z Gordem. Zaś Lirta swymi sztormami omywa wybrzeża aż trzech ziem, bo jeszcze i odległego Hi'en, z którym cesarstwo stoczyło dwie wojny morskie, nieomal w ogóle nie znając wnętrza tego bagnistego kraju.

Zamiarem Yannurisa było uporządkować nieco ten stan. Pragnął wykreślić mapy sięgające daleko poza Archand. Miały jak najdokładniej opisywać inne królestwa. Nawet nie tylko sąsiadów Cesarstwa, lecz sąsiadów ich sąsiadów i ich sąsiadów... Nie miały to być zwyczajne zwoje kartograficzne, o, nie! – więzień *Ueni Amby* chciał te ziemie opisać dokładnie, aby ktoś kiedyś, chcąc podjąć podróż w tamte odległe rejony świata, mógł się zawczasu przygotować.

Wierzył, że choć dziś Archand pozostaje w dobrowolnej izolacji, to jednak któregoś dnia posłowie ruszą hen, daleko, do tych wszystkich słabo poznanych, często nieopisanych przez archandyjskich kronikarzy krajów. Wtedy jego księga stanie się potrzebna, imię będzie wspomniane, a życie – życie spędzone na Więziennej Górze – nabierze sensu, choćby i długo po śmierci.

* * *

Czekając w komnacie na przygotowanie kąpeli, Yannuris zastanawiał się, czy zdoła

dokończyć swe dzieło.

Za późno zaczął nad nim pracować. Na Więzienną Górę trafił jako dwulatek. Jednak kiedy podrósł, zainteresowało go co innego: polityka cesarstwa, języki sąsiadów, dworska etykieta, słowem wszystko to, co mogło mu się przydać, kiedy sam obejmie rządy.

Dopiero wiele lat później pojął, że być może nigdy nie opuści *Ueni Amby*. To go zmieniło. W gwałtownym proteście odrzucił rzeczy przydatne w świecie, którego mógł wcale nie poznać – i zajął się mirażami. Bo przecież opisy tych samych miejsc czynione przez różnych kronikarzy, pochodzących z innych krajów, a nawet żyjących w różnych epokach, często dramatycznie nie pasowały do siebie, nie przystawały jak dzień do nocy. W jednych Gord przedstawiany był jako kraina bezpieczna, przyjazna podróżnikom – podczas kiedy inni srogo przestrzegali przed zapuszczeniem się na te ziemie, obwiniając żyjących tam ludzi o barbarzyństwo i nieustający rozbój. Nie stronili od krytycznych uwag nawet tamtejsi pisarze. Zweryfikować to wszystko, dojść do jednego, sensownego i prawdziwego wniosku – to jakby chcieć uwięzić i zatrzymać fatamorganę. Złapać, okiełznać i zmusić do walki po swojej stronie smoka, o czym wspominał jeden z dziejopisów.

– Panie? – Do komnaty zajrzała Heyla, najmłodsza ze służek Yannurisa. Najmłodsza, ale także już dosyć posunięta w latach.

W łaźni pomogła mu zdjąć szaty i wejść do kamiennego basenu. Z ulgą zanurzył się w gorącej wodzie pachnącej lawendą i cedrem.

– A może skorzystasz? – uśmiechnął się do kobiety, czyniąc ręką zapraszający gest. – Przynajmniej nie zamoczysz sukni, myjąc mi plecy, jak ostatnim razem.

Po krótkim wahaniu nieśmiało skinęła głową. Zrzuciła strój i wsunęła się do basenu.

Yannuris spoglądał na nią z namysłem. Była stara. Na Więziennej Górze wszyscy byli starzy. Jednak lubił ją. Ona jedna, obok Draiego, dostrzegła w nim człowieka, nie zaś zgrzybiałego pretendenta do tronu.

A kiedy prysnął na nią wodą, roześmiała się. Jakby im obu ubyło lat.

* * *

Jesienne deszcze nie ustawały, lecz Yannuris niemal ich nie zauważał pochłonięty opisywaniem wysokogórskich równin zamieszkałych przez rodzinę plemion Sunnei. Ukryci za pasmem potężnych, sięgających nieba gór, pokrytych czapami wiecznego śniegu, pędzili swój żywot na kilku zimnych płaskowyżach, gdzie grube łańcuchy szczytów rozdzielały się, tworząc długie, wąskie kotliny przypominające wielkie wrzeciona.

Sunnei byli słabo znani Archandyjczykom z bezpośrednich kontaktów. Mało komu udało się pokonać granice wiecznej zmarzliny. Lecz inni mieli z nimi jakieś kontakty. Przy czym słowo *jakieś* dobrze oddaje charakter tych relacji. Bardzo trudno było cywilizowanemu Gordyjczykowi czy nie mniej kulturalnemu Almeidzie, żyjącemu w mieście, niosącemu w swej świadomości światło państwa istniejącego w tych samych mniej więcej granicach od tysiący lat, porozumieć się ze stepowym łupieżcą, który swe skórzane namioty stawiał gdziekolwiek i przemierzał owe równiny w niekończącej się wędrówce za stadami baranów. Ci ludzie nie posiadali nawet pisma!

A jak ich świat może opisać ktoś, kto go nie rozumie, notuje tylko przypadkowe zdarzenia i fragmenty zasłyszanych opowieści, przekładając ich znaczenia na podobne do tych, jakie zna z własnej kultury? W czytanych księgach Yannuris dostrzegał niewiarygodne wprost rozbieżności dotyczące geografii tamtych odległych równin. Lecz przede wszystkim nie dało się niemal nic wywnioskować o życiu Sunnei, bo przecież z pewnością nie byli głupcami, jak ich opisywali kronikarze. Gdyby byli tacy, już dawno te surowe ziemie zająłby kto inny, a tymczasem oni wciąż tam trwali razem ze swymi baranami...

Nieistotne plemię, nieistotny kawałek ziemi – rozmyślał Yannuris – *a przecież już któryś miesiąc trwa to żmudne szukanie, weryfikowanie, próba zrozumienia...*

– Nie zdążę – ponuro rzekł do siebie któregoś dnia, obserwując mrówkę, która przemierzała skraj wielkiej księgi niby podróżnik wędrujący po bezkresie świata. – Chyba, że dożyję stu lat w zdrowiu. A na to się nie zanosi.

Od samego rana był poirytowany tym, co działo się wokół niego. Wyczuwał jakiś niepokój, podskórne zdenerwowanie służby i strażników. Nawet Drahi wydawał się być jakiś odległy, zasłuchany we własne myśli.

Czyżby? ... – w nagłej panice pomyślał Yannuris. – *Ale teraz?!*

Przemierzył swoją komnatę kilkunastoma szybkimi krokami. Nawet i tu wszędzie leżały księgi. Nie potrzebował zbytków i luksusów, do spania wystarczała mu tylko mała wydzielona alkowa, resztę apartamentu przeznaczył na gabinet do pracy.

Naraz zrobiło mu się duszno. Chwycił opończę i gwałtownymi krokami podszedł do drzwi na taras. Szarpnął je nieco nerwowo i wyszedł.

Odgrodzony barierkami chroniącymi przed upadkiem, rozpościerał się przed nim cały świat. Cały niedostępny świat, który mógł oglądać oczyma innych, lecz nie własnymi.

Więzienna Góra była wysokim szczytem o bardzo stromych zboczach i płaskim wierzchołku. Na nim właśnie zbudowano przed wiekami to luksusowe więzienie. Nie było tu żadnych krat, lecz zejście w dół oznaczało spotkanie z cesarskimi strażnikami czuwającymi dzień i noc. Jako pretendent do tronu Yannuris mógł rządzić tylko równo ściętym zwieńczeniem góry – mniej więcej sto kroków w każdą stronę i granica tak wyrazista, że wyrazistszej być nie może: przepaść. Wszędzie indziej w Archandzie panował cesarz, umiłowany Idan IV, starszy brat Yannurisa.

Mógł w spokoju studiować księgi, próbować ucieczki albo rzucić się ze skały. Nie mógł jedynie liczyć na to, że na dole, w Archandzie, ktokolwiek udzieli mu pomocy. W gruncie rzeczy nawet straż u podnóża góry, ci ludzie, których widział jako małe kropeczki niezmordowane krążące po swoich codziennych trasach, nie byli potrzebni. Kto zaryzykuje pomoc pretendentowi do tronu, gdy w przypadku nieudanego uczynienia go cesarzem oznacza to wygubienie rodziny do czwartego stopnia pokrewieństwa włącznie?

Naraz przy balustradzie stanął Drahi.

– Ziąb, panie – rzekł.

Yannuris wolno skinął głową.

– Zima idzie...

Sługa okrył go dodatkową opończę.

– Powiedz, jaki jest ten świat na dole? Bardzo różni się od tego, co zapisano w księgach? – spytał wreszcie więzień.

Drahi uniósł na niego spojrzenie. Wiedział, że pod pytaniem starego pretendenta kryje się zupełnie inna, dręcząca wątpliwość, czy Yannuris byłby w stanie zmierzyć się ze sprawami Archandu.

– Panie, księgi to wydestylowana mądrość – odparł sługa po chwili namysłu. – Życie poniżej tego szczytu to tylko brud, krew, głód i cierpienie. Rozwiewa się jak pyłowa burza i nic po nim nie pozostaje. Co warto zapisać, ktoś prędzej czy później włoży do księgi.

Drahi znał tamten świat. Raz w roku wyjeżdżał na kilka tygodni, aby przywieźć księgi, zdać Idanowi relację z poczynań najważniejszego więźnia... Yannuris podejrzewał, że był on nie tylko jego towarzyszem i sługą, lecz także szpiegiem i strażnikiem.

– Idan wciąż panuje – podsumował tę wymianę zdań Drahi.

* * *

Idan IV wciąż panował, a jednak Yannuris nie potrafił odpędzić wrażenia, że na Więzienną Górę zakradł się gęstniejący niepokój, duszna atmosfera wyczekiwania.

Kilka dni później – akurat kiedy czytał jakąś księgę o dziejach odległego ludu Hi'en – nagle jakieś hałasy oderwały go od lektury. Podeszedł do okna biblioteki.

Wąską krętą drogą, owijającą się wokół *Ueni Amby* niczym wąż dookoła swojej ofiary, wędrowała niewielka kolumna ludzi. W ich ruchach była stanowczość, w minach nieustępliwość, w postawie – świadomość, po co tu przybyli.

Yannuris zaczerpnął tchu, aż zakłuło go w piersiach. Z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Gryząc wargę, podeszedł do stołu i powoli, smutnym, zmęczonym ruchem zamknął księgę.

A kiedy po jakimś czasie pojawił się Drahi, spytał:

– Umarł?

Sługa zaprzeczył ruchem głowy. Choć przecież wiedział, że nie warto kłamać.

– Ma jeszcze kilka dni przed sobą.

Stary pretendent zrobił kilka kroków po mozaice przedstawiającej motyla siedzącego na kwiecie.

– Na co zapadł?

Drahi westchnął.

– Zwyczajna starość, panie.

Gorzki uśmiech wypłynął na twarz Yannurisa.

Zwyczajna starość to było to – i chyba tylko to – co łączyło go z bratem. Idan panował w kakofonii świata, wydając rozkazy i rządząc, Yannuris żył w ciszy, analizując decyzje i działania innych.

* * *

Trzy dni później, w godzinę po nadejściu świtu, pojedynczy konny z tętentem wjechał na Więzienną Górę.

Yannuris nie spał. Przez ostatnie kilka dni nie pracował, wątpiąc w sens tego zajęcia. Miał problemy ze snem, siedział więc i z okien biblioteki spoglądał na drogę.

Kiedy Drahi razem z dwoma zbrojnymi przyszedł po niego, nie musieli mu nic mówić. Sam się domyślił, że jego brat umarł.

* * *

Idan IV leżał na śmiertelnym łożu, w otwartej trumnie. Tego dnia żegnał się ze swymi poddanymi. W nocy jego ciało spocznie we wnętrzu Góry Cesarzy, by po wiek wieków trwać jako dowód długiej i nieprzerwanej linii władców Archandu.

Na centralny plac miasta przybyły tłumy. Ludzie chcieli się pożegnać z władcą, który co prawda jak każdy cesarz żył w oddaleniu od nich, lecz wydawał się im szczególnie bliski. Nie uciskał ich nadmiernie, a czasem wykonywał gesty pozwalające dostrzec w nim człowieka. Jak choćby wtedy, gdy przed siedmiu laty niezwykle surowa zima ogarnęła kraj, a on nie zawahał się opustoszyć cesarskich magazynów z jedzenia i opału, aby ludzie nie marli z głodu i zimna.

Teraz przyszedł, aby go pożegnać. Na samym placu zmieściła się tylko ich część, ledwie parę tysięcy spośród tych, którzy by przybyli, gdyby było to możliwe. Odcięci od trumny Idana poczwórnym kordonem wojska zachowywali się jak podczas jakiegoś święta.

I może to było dla nich święto? W końcu ileż razy za ich życia umierał jakiś cesarz?

Na długich schodach pałacu, szeroką marmurową wstęgą spływających w dół ku placowi, stał tron otoczony członkami Rady Baronów i doradcami wojskowymi. Było wśród nich także dwóch ambasadorów oraz kilku mnichów z cesarskiej nekropolii, zwanych duchownikami.

Tuż obok tronu, na którym zasiadł Yannuris I, można było odnaleźć charakterystyczną, wysoką sylwetkę Drahięgo.

Poddani uważali zapewne, że mroczna mina nowego cesarza oznacza ból i zadumę. On jednak błędził myślami po zakątkach tak dobrze znanej Więziennej Góry. Nieobecny spojrzaniem wodził po rozgorączkowanym tłumie, z roztargnieniem oddawał gesty stojącym nieopodal tronu ambasadorom Gordu i Almeidy, którzy chcieli w imieniu swych krajów pożegnać Idana IV.

W świadomości Yannurisa z trudem mieścili się również duchowni odprawiający na placu modły za szczęśliwe połączenie się zmarłego z jego przodkami. Wychowany na księgach, z dala od religijnych obrządków, nie potrafił uwierzyć we wspólnotę żywych i umarłych, chociaż rozumiał, że dla prostego ludu religia jest równie ważna co widok cesarza, a może i ważniejsza, bo to nie władca, lecz kapłani na co dzień krążyli pośród nich.

Yannuris w całym pogrzebie dostrzegał tylko jeden pozytywny akcent. Przypatrywał się nie swemu bratu, lecz okrywającej zwłoki nefrytowej szacie. Była... niezwykła.

Przypominała nieco zbroję. Składała się z kilkunastu części okrywających całe ciało z wyjątkiem twarzy. Wypolerowane płytki jasnozielonego kamienia połączone zostały złotymi drucikami, a od spodu prześwitywała purpurowa materia. Spoczywający na białym katafalku Idan IV wyglądał majestatycznie niczym umarły bóg.

Nagle Margal, jeden z młodszych baronów stojących niedaleko tronu, zaczął coś szeptać do ambasadora Veigana Du z królestwa Almeidy.

Margal nie był arystokratą takim jak inni. Jego ród nie miał szans zostać wspomniany w księgach wertowanych przez Yannurisa. Dopiero w ostatnich dekadach wydzwignął się ze sklepikarzy na możnych kupców, a z tych, mieszając krew z ubogą, ale wartościową szlachtą, wpłynął do zatoki baroniej. Zasilił ją podłym pochodzeniem, za to wielkimi pieniędzmi. Stąd też ów mężczyzna w średnim wieku, choć giął kolano przed cesarzem, nie wydawał się przerażony jego obecnością. Raczej szacował, ile trzeba wydać, aby go kupić.

Yannuris, ledwie ujrzał na oczy Margala zaraz po przybyciu do stolicy, intuicyjnie wyczuł, że będą z nim kłopoty. Chociaż spoglądając na wszystkich baronów i doradców, tak naprawdę dostrzegał tylko jednego człowieka, który stał po jego stronie – Drahięgo. Był on wiernym towarzyszem od kilkadziesiąt lat, jedynym stałym punktem w świecie, który nieoczekiwanie obrócił się dla Yannurisa na drugą stronę. Niedawny mieszkaniec *Ueni Amby* czytał co prawda, że więźniowie nienawidzą swego miejsca odosobnienia i jego dozorców, ale wiedział, że to tylko część prawdy. Ta część dotycząca ludzi, których więziono zbyt krótko, aby zdążyli pokochać swych strażników jak braci...

Patrząc na tych dwóch, Margala i ambasadora z Almeidy, Yannuris doznał nagle olśnienia. Gdyby był religijny, mógłby powiedzieć, że to któryś z przodków zesał mu tę myśl. Oto spoglądając na Veigana Du, człowieka z innego kraju, uświadomił sobie, że zyskał nagle możliwość sprawdzenia, jak naprawdę jest w tych obcych ziemiach.

Yannuris pojął, że może wysłać wyprawy naukowe i zweryfikować wiedzę ze swoich ksiąg. Spożytkować szansę, jaki los nieoczekiwanie mu podarował. Wprawdzie Almeida i Gord – których ambasadorowie stali wśród baronów – są znane, ale nowy pan Archandu wyśle wyprawy również gdzie indziej. Do Sunnei, a także morską ekspedycję do Hi'en, korzystając ze spokoju panującego na wodach Lirty.

Lud zrozumiał minę cesarza tak, jak lud zwykle rozumie ciepły uśmiech na twarzy swego władcy. Rozległy się wiwaty i okrzyki radości.

* * *

W nocy po pogrzebie Yannuris nie mógł usnąć. Spoczywając w wielkim łożu przesłoniętym kotarami, słuchał cichnącego szmeru pałacowego życia. Wreszcie pozostały jedynie odległe odgłosy zmieniających się i krążących wart. Raz w ogrodzie zaskrzeczał paw zbudzony złym snem albo wyczuwając drapieżnika.

Powinien czuć smutek, bo przecież pochował własnego brata. Powinien czuć smak władzy, bo przecież po ceremonii stał się dzierżącym niepodzielną władzę cesarzem Archandu.

Tymczasem jedynym, co w nim żyło, był pomysł, jaki przyszedł mu do głowy w trakcie ceremonii pogrzebowej. Świadomość, że to, o czym czytał w księgach na *Ueni Ambie*, może wcielić w życie. Tam, na Więziennej Górze, mógł tylko zadawać pytania. Teraz – także poszukać odpowiedzi.

Wreszcie wstał i zaczął spacerować po swojej komnacie. W ciągu tych kilku dni, odkąd w niej zamieszkał, zdołał się pozbyć luksusów, jakie najwyraźniej cenił sobie jego brat. Odarta z większości obrazów i sprzętów bardziej nadawała się do zamieszkania. I było też więcej miejsca na wędrowanie wzdłuż którejś z linii geometrycznej mozaiki pokrywającej podłogę.

Pomyślał, że nie ma na co czekać. Zbierze Radę Baronów – pora przejść do czynów. Dostyc się naczytał, nasiedział, napatrzył na swe myśli i wyobrażenia. Może był stary, ale czuł w sobie energię. Zaraz wyda rozkaz... karawany ruszą w świat...

Jeszcze leżąc w jedwabnej pościeli, zastanawiał się, co powie. Albo raczej jak to powie, jak oznajmi im swoją decyzję. Wiedział, że jego doradcy będą zaskoczeni.

Ledwie wstał, w jego komnacie bezszelestnie pojawił się Drahi.

Yannuris oznajmił mu, że po śniadaniu chce się spotkać z Radą Baronów. Mógł podjąć decyzję samemu, ale chciał im wyjaśnić. W nocy doszedł do wniosku, że można spróbować zmienić obraz Archandu w oczach świata, pokazać go jako państwo szukające wiedzy. Do tego jednak potrzebował wsparcia.

Liczył, że przekona baronów wizją pozyskania nowych towarów, a tym samym pieniędzy. *Kupię ich koncesjami* – myślał z rozbawieniem. – *Korzenie, złoto, co tylko się da.*

Drahi zburzył te wizję jednym zdaniem:

– Panie, ambasador Veigan Du chce się z tobą spotkać w pilnej sprawie. Twierdzi, że to, co ma do powiedzenia, nie powinno czekać ani chwili.

* * *

Jedną z niewielu rzeczy, jakie w pałacu docenił Yannuris, był wielki, zadbane ogród, w którym rosły chyba wszystkie drzewa i kwiaty świata. Pomiedzy nimi przemykały na wpół oswojone zwierzęta, szczególnie w tej części ogrodu, którą utrzymywano w stanie zamierzonej półdzikości. To tam rankiem dnia poprzedzającego pogrzeb nowy cesarz długo przyglądał się małej zielonobrazowej jaszczurce krążącej wokół porośniętej wysoką trzcina sadzawki. Przysiadł w kucki na mokrej od porannej rosy trawie i obserwował, jak zwierzątko szuka owadów, od czasu do czasu nerwowym ruchem głowy sprawdzając, czy Yannuris nie próbuje zrobić mu krzywdy.

Dziś jednak Drahi poprowadził swego władcę do wygodnej altany pośrodku polany w wypielęgnowanym zagajniku. Czekał tam już odziany w ciemną szatę bez ozdób ambasador Almeidy, Veigan Du. Ceremonialnie uklonił się Yannurisowi na powitanie. Jednak jego twarz pozostała skupiona, a wyraz oczu trochę nieobecny.

– Chciałem spytać, panie... – zaczął, gdy cesarz wszedł do altany, a Drahi stanął na straży, czuwając, aby nikt im nie przeszkodził. – W imieniu swego władcy chciałem zapytać, czy Archand przystąpi do wojny po naszej stronie, kiedy ona wybuchnie.

Yannuris podniósł na niego zaskoczone spojrzenie.

– Archand nie chce wojny – odparł nieco bardziej ostrym tonem, niż to miał w zwyczaju.

Na twarzy ambasadora odmalowało się zaskoczenie, a przez jego oczy przemknął cień zakłopotania. Powiódł nimi po polanie, na sekundę zatrzymał wzrok na odległym o trzydzieści kroków Drahim, nim znów spojrzął na cesarza.

– To Hi'en znów jej szukają, panie, jak trzydzieści lat temu. Twój brat, gdy pokazaliśmy mu raporty naszych szpiegów, nie odrzucił myśli o wspólnym wystąpieniu przeciwko agresorowi. Myślałem, że doradcy brata zdążyli ci o tym powiedzieć.

Tak, doradcy... Żaden z nic ani żaden z baronów nawet się nie zająknął o tej sprawie – gorzko pomyślał Yannuris.

– Nie chcę wojny – mruknął.

Veigan Du zacisnął swe wąskie, wypielęgnowane dłonie arystokraty na balustradzie oddzielającej ich od trawy porastającej polanę. Westchnął ciężko.

– Znam cię, panie, i wiem, że bardziej interesują cię księgi od ludzi – rzekł wreszcie otwarcie. – Lecz mój pan i władca, Sanhel, pragnie ci przekazać, że nie taki jest wybór: chcieć czy nie chcieć wojny. Pytanie brzmi: wolisz zaatakować Hi'encyków, zanim zejda ze swych okrętów, aby pustoszyć nasze ziemie, czy pozwolisz, aby nas zaatakowali w wybranej przez siebie chwili.

Yannuris spojrzął mu prosto w oczy i odparł:

– Ambasadorze, czy nie rozumiesz? Ledwie objąłem tron. Nie tylko nie chcę, ale i nie mogę zaczynać rządów od wojny!

Almeidczyk wzruszył ramionami.

– Tej wojny nie da się uniknąć, panie – powiedział. – Można tylko wybrać na nią zły albo dobry moment.

* * *

Drahi rzadko widywał Yannurisa tak zafrasowanego. Ich życie na Więziennej Górze było proste i raczej pozbawione trosk. Nawet przed tymi kilkoma wyjazdami, które sługa musiał odbyć poza *Ueni Ambę*, nie widział swego pana tak zmartwionego. Cesarz wydawał się przygnieciony rozmową z ambasadorem.

Tymczasem nadeszła pora na spotkanie z Radą Baronów.

Yannuris złapał ukradkowe spojrzenia swego sługi, ale postanowił nie przyznawać mu się do swoich wątpliwości, dlatego nikt mu nie powiedział, że Idan odbył taką rozmowę z Veiganem Du. Czyżby doradcy zapomnieli? Czy też, jak podejrzewał, nie zamierzali mu o tym wcale mówić?

Spotkanie odbywało się w wielkiej sali z kolumnami. Baronowie i doradcy już na niego czekali, rozmawiając na stojąco. Przygotowany stół był skromnie zastawiony paterami pełnymi owoców i dzbanami źródlanej wody. Yannuris nie wydawał takiego zarządzenia, widać jednak jego zamiłowanie do ascezy szybko uznano za obowiązujące prawo. Uśmiechnął się z wyrozumiałością, ale i pewnym smutkiem – w tej chwili chętnie wypiłby nieco wina. Mógł poprosić służbę, ale to już nie to samo, bo z władcy skromnego stałby się kapryśnym.

Pięciu baronów i trzech doradców (w tym jeden kapłan wydelegowany z klasztoru przy Cesarskich Kryptach) wyczekująco spoglądało na swego pana. Razem z Drahim było ich w tej sali dziesięciu – i decydowali o losach sporego państwa. Albo przynajmniej żyli w mirażu, że taka jest ich władza. Cesarz mógł mieć na ten temat inne zdanie.

Yannuris swój pomysł o wysłaniu wypraw starał się jednak przedstawić nie jako już podjętą decyzję, lecz raczej dopiero co dostrzeżoną okazję, z którego grzechem byłoby nie skorzystać.

Drahi w zadumie wysłuchał opowieści o tym, iż wiedza zdobyta przy pomocy karawan uczyni Archand potężniejszym. Baronowie nie byli jednak tak uprzejmi. Choć nie przerywali Yannurisowi, widać było, że ich nie porwał.

– To niepotrzebne koszty – zaczął stary Skand, kiedy cesarz spojrzął po nich pytająco.

Margal wyraził się dosadniej:

– Panie nasz! Nauka jest dobra dla brodatych uczonych. Jeżeli chcesz tracić pieniądze, wyślijmy zbrojne wyprawy, zrobmy wojnę...

Yannuris westchnął z rezygnacją.

Nie poparł go żaden z baronów, nikt z doradców. Nawet Drahi, ku wielkiemu bólowi swego władcy, milczał, jakby nie chcąc przystawać do chóru krytyków, a nie mogąc pochwalić inicjatywy.

– Widzę, że was nie przekonałem – podsumował wreszcie Yannuris. – Zatem udam się do Cesarskich Krypt i tam porozmawiam z mymi poprzednikami. Może oni pomogą mi podjąć właściwą decyzję.

Słowo władcy jest rozkazem. Jednak cesarz zdawał sobie sprawę, że długo nie porządzi, nie mając poparcia tych ludzi.

Pozostało mu wesprzeć się autorytetem przodków.

* * *

Yannuris miał świadomość, że wojna z Hi'en była nieunikniona. Liczył jednak, że zdoła wcześniej wysłać wyprawy. A może nawet zdążyć powrócić, zanim zaczną się walki. Później już nie będzie mógł zrealizować swego planu... zresztą żadnego *później* może nie dożyć. Nie zamierzał czekać.

Aby utracić protesty, użył narzędzia, o którym sądził, że baronowie ulegną mu bardziej, niż on sam: wiary.

Podczas kiedy on czytywał księgi, oni spotykali i słuchali kapłanów. Według tych zaś ciężar jednego słowa przodków jest stokroć większy niż całej przemowy żyjących, sami zaś przedstawiali się jako kupcy z wagą i odpowiednim stosem odważników. Teraz Yannuris chciał z tego skorzystać. Gdy wróci z Krypt, twierdząc, że przodkowie akceptują wysłanie karawan naukowych, kto zdoła mu zaprzeczyć?

Poza tym nie miał okazji odwiedzić Krypt Cesarskich. Teraz będzie właściwy moment.

O dziwo, Drahim próbował go od tego odwieść.

– Panie mój i władco, nie powinieneś zadzierać z baronami – rzekł cicho i błagalnie. – Przodkowie pewnie zechcą cię wesprzeć w decyzji wysłania karawan, ale ludzie w pałacu tego nie pojmą. A to ludźmi rządysz, nie duchami czy sarkofagami pełnymi prochów.

* * *

Cesarska nekropolia była odrębnym, zamkniętym miastem, w którym na stałe przebywali tylko kapłani mający tu swoją główną siedzibę.

Aby wznieść odpowiednie miejsce ostatniego spoczynku dla cesarzy, do żywej skały odarto niewielką górę leżącą kilka mil od stolicy. Miała kształt łagodnej kopuły, po usunięciu ziemi odsonił się biały wapienny kamień. W zboczach, w połowie wysokości, wydrążony został szereg grobów, w których spoczywali kolejni władcy oraz ich rodziny. Po pogrzebie otwory zamykane były specjalnymi rzeźbami przedstawiającymi pochowanego wewnątrz cesarza. Dostęp do komór pozostał tylko od wierzchołka. Stał tam niewielki klasztor zamieszkiwany przez tych spośród mnichów, którzy nie krążyli po Archandzie, lecz czuwali nad spokojem zmarłych. W jego podziemiach krętymi schodami biegła droga do krypty, a z niej ciasnymi korytarzykami do poszczególnych sarkofagów.

Yannuris zatrzymał się w krypcie. Tam w ciszy, nie niepokojony przez nikogo, po raz kolejny zadał samemu sobie pytanie, czy dobrze robi.

Archand był silny. Magazyny z ziarnem miał pełne, pieniędzy w skarbcu nie brakowało. Wojna z Hi'en może będzie, a może nie. Veigan Du może mówił prawdę, a może tylko sprawdzał stanowisko nowego cesarza.

Coraz bardziej Yannuris utwierdzał się więc w przekonaniu, że wyprawy należy wysłać – do Sunnei, o których wiedział tak niewiele, ale także do Gordu, Almeidy i... do Hi'en. Pośle tam kogoś z baronów. Jeżeli chcą wojny, niech sprawdzą, czy ma ona sens.

Później począł krążyć pośród sarkofagów tych, których znał jedynie z kart mądrych ksiąg.

Z mocnym postanowieniem wyszedł z podziemi do klasztoru, gdzie oczekiwał na niego Drahi oraz strażnicy, którzy poza pałacem – i wewnątrz Krypt – nie odstępowali cesarza na krok.

– Zadbaj o to, żeby przywieźć moje księgi z góry – nakazał Yannuris, gdy znaleźli się w powozie wiozącym ich do pałacu.

Sługa patrzył na niego z namysłem.

– Lepiej będzie, jeśli nikt z Rady się o tym nie dowie – stwierdził wreszcie.

Władca podniósł na niego zaskoczony wzrok, ale nic nie odrzekł.

Mury stolicy zbliżały się szybko, a wraz z nimi wszelkie troski rządzenia Archandem i ludzie, którzy woleli wojny od badań.

* * *

Najwyraźniej baronowie pogodzili się z kaprysem swego cesarza – zadziwiająco gładko, biorąc pod uwagę przebieg pierwszej narady.

A może wystarczyła im cena, jaką Yannuris zgodził się zapłacić?

Zbyt późno został władcą, aby mieć z tego jakieś inne korzyści niż zaspokojenie własnej ciekawości. Całe życie spędził w luksusowym więzieniu, nie spłodził więc syna, a przynajmniej nic nie było mu o tym wiadomo. W pałacu poza równie starym Drahim nie miał nawet sojuszników, którym by mógł pozostawić tron.

Idan IV także nie miał potomka, a jego żona umarła przed wielu laty. Cesarz był jednak silny i nie dał sobie narzucić następnej. Tylko dlatego Yannuris zasiadł na tronie, a przy okazji odkrył, że jego wyobrażenie o bracie, sklepane z rzadko docierających na Więzienną Górę plotek i strzępów informacji zawartych w księgach, w ogóle nie odpowiadało prawdzie.

Niezależnie jednak od rosnącej w nim przychylności do nieznanego mu i nieżyjącego brata, musiał stwierdzić, że Idan IV zostawił kraj w trudnym położeniu – bez następcy, który zapewniłby ciągłość władzy liczoną nie w miesiącach, lecz całych dziesięcioleciach. Yannuris przecież znajdował się u schyłku życia i pewne było, że po jego śmierci rozpocznie się walka o tron.

Zgodził się więc wziąć dużo młodszą żonę z rodu Demarole, którego przedstawiciel, Songei, zasiadał w Radzie Baronów. Tym samym, choć Oenna nie urodzi mu potomka, po śmierci Yannurisa pozostanie cesarzową, a jej rodzina przejmie rządy, zakładając kolejną dynastię. To nie obchodziło go wcale, bo odkąd obejrzał wewnątrz Cesarskich Krypt, zyskał pewność, że nawet jeżeli po śmierci jego umysł stanie się częścią jakiejś zbiorowej mądrości, to bez wpływu na ludzkie losy.

Uгода z rodem Demarole dała mu za to możliwość wysłania naukowych karawan. Chcąc jeszcze bardziej powiązać baronów ze sobą, zaproponował, aby każda z rodzin wybrała po kilku młodszych synów i wysłała ich w różne strony świata. Zdobędą doświadczenie, które kiedyś może się przydać zarówno im, jak i Archandowi.

No i nadszedł dzień, kiedy, stojąc na dziedzińcu, przyglądał się jak odjeżdża ostatnia z

grup przygotowywana najdłużej, bo zmierzała najpierw to portu Sestre, a stamtąd, już niesiona wodami Lirty, na wybrzeża i ziemie królestwa Hi'en.

Obserwując krzątających się ludzi, w których obecność cesarza wzbudziła pewną nerwowość, Yannuris nie potrafił odpędzić wrażenia duszności. Gdyby spróbował wniknąć w to niepokojące doznanie, pewnie przypomniałby sobie, że miał już podobne na Więziennej Górze w ten dzień, gdy zmierzał ku niej posłaniec z wiadomością o bliskiej śmierci Idana IV. Cesarz nie potrafił jednak myśleć o niczym ani nikim prócz ludzi wyruszających właśnie w podróż do nieznanego kraju. Och, gdyby mógł popłynąć z nimi! Ileż by dał, żeby jako prosty majtek znaleźć się na pokładzie jednego z okrętów...

Naraz dotarło do niego z całą brutalnością, że chociaż był więźniem na *Ueni Ambie*, teraz dopiero poczuł smak niewoli. Zdołał wysłać w świat parę listów, ale czy otrzyma jakieś odpowiedzi?

Uśmiechnął się smutno. Jednego był pewien: Archand nie miał dotąd takiego cesarza. Yannuris wiedział, że cokolwiek nastąpi, przejdzie do historii jako dziwny władca, który rządy objął na starość, a jego pierwsze decyzje dotyczyły nie wojen, lecz wypraw naukowych. Czy kronikarze napiszą: *Sędziwy wiekiem patrzył w przyszłość, a mając większość życia za sobą, nie pożądał już rzeczy, które są nietrwałe, ale takich, co nie przemijają, czy: Choć jego umysł, jak to u starca, pełen był mądrości, to ręka już drżała zdolna tylko laskę utrzymać, nie zaś groźny miecz ani karcącą różgę?*

Zbyt dobrze znał księgi, aby nie wiedzieć – napiszą i jedno, i drugie. Ważne tylko, czego więcej.

* * *

To dziwne, że na starość można się z kimś tak związać. Yannuris był pewien, że zawsze znajdzie wspólny język z Drahim i z Heylą, która pozostała na Więziennej Górze – i której czasem bardzo mu brakowało.

A jednak Oenna, chociaż o dwadzieścia lat młodsza, bez trudu trafiła do serca i rozumu cesarza. Nie miał wielu doświadczeń z kobietami, odliczywszy nałożnice, jakie czasem odwiedzały go na *Ueni Ambie*, aby mógł zaznać męskich rozkoszy, jednak wydawało się Yannurisowi, że widzi przed sobą szczerą, łagodną osobę, która nikogo nie udaje. A może po prostu rodzina Demarole dobrze wybrała małżonkę dla władcy, po którym wkrótce mieli objąć schedę?

Połączyło ich umiłowanie ksiąg, spacerów po ogrodzie, a także coś, co cesarz odkrywał dzięki swej przyszej małżonce: malowane miniaturowe obrazy.

Kiedy więc nie zaprzętały go obowiązki, najczęściej razem z nią spacerował alejkami pałacowych ogrodów, rozmawiając.

Tamtego dnia Oenna zamieniła się w nauczycielkę nazywającą motyle. Na łące fruwało ich całe mnóstwo, barwiły powietrze jak tęcza, ale dla Yannurisa wciąż nie były *mietlicami*, *czerwonakami* czy *białokropkami*, tylko *motylami*. Rozpaczliwie brakowało mu słów, aby ponazywać ten świat wokół siebie.

Nagle przed cesarzem stanął zadyszany goniec z pałacu.

– Panie, prędko!

Zaniepokojona Oenna wypuściła ze stulonych dłoni motyla o ciemnych skrzydełkach naznaczonych paskami czerwieni. Cesarz zaś, nie oglądając się na nią, ruszył za posłańcem.

W komnacie czekał już na niego inny goniec, w żołnierskim stroju.

– Wojna, panie! – zaczął, nieudolnie kryjąc zdenerwowanie. Zapewne nigdy dotąd nie przekazywał aż tak ważnych nowin samemu cesarzowi.

Ten uśmiechnął się ze spokojem.

– Wiem – przyznał, budząc na twarzy żołnierza niedowierzanie. – Ile okrętów płynie?

Posłaniec osłupiał. Powiół spojrzeniem po komnacie, wreszcie zatrzymał wzrok na swoim władcy.

– Cesarzu, jakich okrętów? – W jego głosie pojawił się niepokój. – To te pastuchy, Sunnei, zeszyły z gór! Mrowie ich, a nasze twierdze z tamtej strony słabo obsadzone, więc nakryli Werganę i Dimme jak derką, obie zdusili w jeden dzień. Wkrótce przekroczą wody Arleny, szczęście w nieszczęściu, że woda wysoka, to ich wciąż powstrzymuje...

Yannuris zmienił się na twarzy. A więc nie Hi'en... I tyle warte okazały się słowa ambasadora Almeidy!

Odprawił gońca i zarządził naradę.

Nie zdziwił się, że baronowie dotarli na nią już poinformowani o napaści.

Miał ochotę rzucić kąśliwie Margalowi – przewodzącemu frakcji zdolnej rozpętać wojnę z całym światem, aby tylko zabłysnąć – że nie powinien narzekać, ma czego chciał. Władca powstrzymał się jednak.

Skastin, suchy i kościsty generał dowodzący armią, nie miał nic do powiedzenia ponad nowinę, którą przyniósł do pałacu posłaniec. Nikt nie spodziewał się ataku z tamtej strony.

Nikt w ogóle nie spodziewał się wojny. Wyglądało na to, że Veigan Du swój sekret powierzył jedynie Idanowi, który z tajemniczych powodów z nikim się nim nie podzielił.

– Archand jeszcze nie przegrał żadnej wojny – zauważył na koniec narady Skastin. Spojrzał na Yannurisa. – Możesz panie się nie obawiać. Zaraz wyruszam w pole i zagonimy tych dzikusów z powrotem w góry, gdzie odmarzną im tyłki.

* * *

Tymczasem nieoczekiwanie wróciła jedna z karawan, ta wysłana do Gordu. Przetrzebiona chorobami, bez kilku ludzi, nie przywiozła niczego ciekawego.

– Pozostali, jak już wyzdrowieją, to się nam przydadzą – z gryzącą ironią skomentował to jeden z baronów. – Tyle, że wojna się do tego czasu skończy...

Yannuris ledwie słuchał tych uszczypliwości, choć bowiem trwała narada, oczekiwał przybycia do pałacu ambasadora Almeidy. Miał nadzieję, że pilny list poskutkuje i Veigan Du nie będzie zwlekać.

Tak też się stało. Baronowie wciąż dyskutowali, na ile można uszczuplić wojska na innych granicach, by je przerzucić w rejony objęte wojną, gdy powóz Almeidyjczyka zajechał na dziedziniec.

Cesarz przyjął go w małej komnacie niedaleko miejsca posiedzeń Rady. Bez dłuższych wstępów przeszedł do rzeczy.

Veigan Du wysłuchał słów cesarza, nie okazując zdziwienia.

– Poślę twoją prośbę najszybszą pocztą, jakiej mogę użyć – zapewnił.

Władca skinął głową w podzięce.

Wkrótce jakiś śmigły ptak wyleci z okna rezydencji ambasadora. Inny zaś niebawem przyleci tutaj. Chyba że po drodze któregoś z nich zaatakuje głodny sokół czy jastrząb. W księgach niejedna wojna, niejeden dramat stawały się ciałem, bo wieść nie dotarła w porę albo wcale.

* * *

Tymczasem wieści, jakie szybko zaczęły spływać do pałacu od Skastina i jego dowódców, wcale nie niosły pocieszenia.

– Smoki? – powtórzył cicho Yannuris, mnąc w ręku list od generała. – Jakim cudem?

Księgi nic o nich nie wspominają!

Tasbe, zastępujący teraz w Radzie Skastina, wzruszył ramionami. Czy to za sprawą przypadku, czy z innego powodu, jego wzrok spoczął na twarzy Margala, nim odpowiedział cesarzowi.

– Nie wiem, panie, jakie czytałeś księgi – odparł grzecznie – jednak raport nie kłamie. A ci, co zdołali uciec, także opowiadają o smokach zionących ogniem i dymem.

Margal sięgnął po wodę. Upił kilka łyków, popatrzył na Songeia z rodu Demarole, który ciężko wzdychał i kręcił głową, wciąż zapewne nie mogąc uwierzyć, że jacyś barbarzyńcy z górskich równin zamiast na kozach, przybyli tu na smokach. I że używają ich do walki, zamiast honorowo bić się przy użyciu miecza lub innych broni.

– Przecież jesteś uczonym, panie! – stwierdził naraz Margal takim tonem, że jego słowa zabrzmiały niczym szyderstwo. – Nie przewidziałeś tego?

Yannuris nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Jednak we własnej komnacie, gdzie towarzyszył mu już tylko Drahi, nagle zaczął jęczeć z rozpaczą i targać włosy.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?! – prawie krzyczał. – Dlaczego w księgach nie znalazłem o tym ani słowa?!

Sługa dłuższą chwilę patrzył na niego ze współczuciem, nim rzekł:

– Księgi są stare, panie. Może to nowo odkryte stworzenia? A może po prostu były tak wielką tajemnicą, że żaden z kronikarzy do tej wiedzy nie dotarł?

Wzruszył ramionami.

– Teraz to już nieważne, mój cesarzu.

Nagle Yannurisowi przypomniało się coś strasznego: przecież jeden z gordyjskich kronikarzy wspominał o smoku. Tyle że cesarz, wtedy jeszcze więzien na *Ueni Ambie*, potraktował to jako poetycką metaforę mającą wzbogacić tekst...

* * *

Yannuris nigdy nie podejrzewał, że będzie się musiał posługiwać rodami tworzącymi Radę Baronów. Wiedział, że to go uzależni.

Jednak nie mógł liczyć na nikogo innego niż na rodzina Demarole. Nawet Naster, który zbierał informacje od wszystkich szpiegów cesarstwa, pozornie podlegający samemu cesarzowi, udzielał Yannurisowi tak wymijających odpowiedzi, jakby ktoś mu zapłacił, żeby miałkość treści utonęła w mnogości słów.

Władca poprosił Songeia, aby sprawdził, czy nie da się smoków kupić albo pożyczyć. Niech zrobi, cokolwiek będzie potrzebne, aby je zdobyć.

– Nie wiem, panie, czy to możliwe – bezradnie rozłożył ręce stary Demarole. – Bogacimy się na handlu, ale nie bronią, wiesz przecież.

– Smoki, poszukaj smoków! – rzekł krótko Yannuris. – Sam widzisz, co się dzieje – wskazał staremu okno.

Rozmawiali w małej komnacie na jednym z ostatnich pięter pałacu. Przez okna widać było miasto. I plac. A tam ludzie od kilku dni protestowali przeciwko wojnie. Już pojawiły się głosy, że za starego Idana wszystko było lepsze, nawet powietrze, a nowy cesarz ściągnął na ziemię cesarstwa śmierć i zniszczenie.

Yannuris nie musiał tłumaczyć Songeiovi, że w wymyślaniu i puszczeniu w tłum takich plotek zapewne spory udział mają ludzie Margala.

* * *

Chyże są ptaki pocztowe. A szczęście dopisało, więc po dziewięciu dniach ambasador

Almeidy przyszedł z odpowiedzią. Yannuris nie okazał niecierpliwości, choć miał wrażenie, że czas wlecze się jak leniwy muł. Tymczasem ze spojrzenia Veigana Du nie można było nic wyczytać.

Minęło kilka chwil, nim zaczął:

– Pan mój, Sanhel, pojmuję, że królestwo Almeidy mogłoby przyjść cesarstwu archandzkiemu z pomocą, wysłać swe oddziały na tyły Sunnei, co zmusiłoby ich do odwrotu. Rozważył taką możliwość...

Tu urwał. W piersi Yannurisa trzy razy uderzyło serce, nim ambasador dokończył:

– Almeida nie rozproszy jednak swych skąpych sił, poczeka na inwazję Hi'en, która niechybnie nastąpi.

Cesarz zamknął oczy, żeby Veigan Du nie mógł dojrzeć głębi jego rozpaczy.

* * *

Tymczasem wojna wciąż trwała. Twierdze wewnętrznego pierścienia pod dowództwem Skastina zatrzymały impet Sunnei.

– Zjednoczyli się pod jednym władcą – zauważył Tasbe. – Wystarczy go zabić, reszta się rozproszy.

– A smoki? – spytał Yannuris.

Wtedy zabrał głos Lisbet, duchownik. Zwykle milczał, modląc się po cichu. Teraz twardo spoglądał na cesarza. Odrzucony kaptur wyglądał na jego plecach jak garb.

– Trzeba poprosić przodków o pomoc. Oni sobie poradzą z bestiami.

Yannuris westchnął.

– Wojsk też by się przydało mieć więcej...

Lisbet wstał z impetem.

– My korzystamy z pomocy przodków, oni mogą mieć smoki, panie. Ważne, kto zwycięży, nie, w jaki sposób. A teraz wybacz, pójdę się skupić na modlitwie – oznajmił chłodnym tonem i ostentacyjnie opuścił salę odprowadzany zdumionymi spojrzeniami co najmniej kilku baronów.

Oraz krzywym uśmiechem Margala.

* * *

Yannuris odłożył pióro na pulpit i przeciągnął się z westchnieniem. Stare kości bolały, ale cesarz nie mógł sobie teraz pozwolić na przynoszący ulgę i zapomnienie sen. Gdy przymknął oczy i nie widząc liter, słyszał tylko, jak zebrane na stole raporty szeleszczą lekko poruszane podmuchami wiatru zza oka, przez chwilę miał wrażenie, że znów siedzi w swojej bibliotece na Więziennej Górze, że zaraz wejdzie Drahi i zapyta, czy przygotować kąpiel...

Ależ to było dawno! Niczym w jakiejś zamierzchłej epoce opisywanej przez kronikarzy jako szczęśliwy wiek, w przeciwieństwie do grzęznących w zepsuciu i szaleństwie naszych czasów.

Raporty, które piętrzyły się przed Yannurisem, tylko z pozoru przypominały księgi czytane przez niego na *Ueni Ambie*. Choć tamte dzieła różnych pisarzy podawały nieraz sprzeczne informacje o tych samych rzeczach, zwykle czyniły to z namysłem, rozwagą, dopuszczając wątpliwości. Mogło się wydawać, że gdyby dziejopisom dane było porozmawiać osobiście, to – przedyskutowawszy wszystkie sporne problemy – doszliby do zgody, stworzyli wspólnie trzecią księgę.

Tymczasem raporty z pól bitew, w ostatnich dniach jedyna lektura cesarza, nie tylko że sobie przeczyły, ale wręcz czyniły to w sposób nie pozostawiający miejsca na żaden kompromis! Bo jak pogodzić fakt, że według generała Skastina, obserwującego starcie ze wzgórze, pod

Imestą stanęło przeciw armiom cesarstwa dziesięć tysięcy Sunnei, zaś dowódca konnicy, Hargottin, choć również doświadczony żołnierz, którego trudno byłoby posądzać o tchórzostwo, oszacował liczbę wrogów na co najmniej dwadzieścia tysięcy?

Podobnie owe straszliwe smoki wrogów według różnych opisów miały od dziesięciu do pięćdziesięciu łokci, a barwę ich w różnych doniesieniach określano na tyle sposobów, że takiej gamy kolorów nie miał na swojej paletce chyba żaden malarz ani nawet motyle Oenny na swych skrzydłach. A raport napisany przez jednego z dowódców piechoty, Benajdina, podawał, że żadnych smoków nie ma, są tylko dziwne rury z ogniem i trującym dymem.

Wieści przeczyły sobie do tego stopnia, że podawały różne nazwy twierdzy, tak jakby Archand posiadał u swych granic warownie wędrownie. Nawet tak z pozoru oczywiste kwestie, jak kto wyróżnił się w walce, a kto okrył hańbą, nie miały wcale prostoty ani oczywistości właściwej znanym Yannurisowi opisom z dawnych kronik.

Minęło wiele godzin, nim władca zrozumiał, że jedynym kluczem, który podsuwał wyjaśnienie tych rozbieżności, było, czy autor raportu i opisywany w nim dowódca należeli do jednego lub zaprzyjaźnionego rodu, czy też do zwaśnionego z jego rodziną. To pozwalało zrozumieć nieco ludzi, ale nie chaos wojny.

Yannuris miał przed sobą wieści ze świata, który nie poddawał się opisaniu – jak ruch baniek powietrza w tyglu z wrzącą cieczą.

* * *

Wreszcie dowiedział się tego, co najgorsze. Powiedziała mu o tym Oenna, zapewne więc wiadomość pochodziła od szpiegów, jakich ten ród miał w wielu miejscach.

By to sprawdzić, Yannuris musiał zapytać Draiego – jedyne pośród dworzan, któremu ufał. Musiał jednak poczekać aż do popołudnia, gdy przyszła pora przewidziana na odpoczynek archandzkiego władcy i mógł pomówić ze starym sługą sam na sam bez wzbudzania podejrzeń.

Zabrał go na spacer do ogrodu. I tam, gdy strażnicy nieopuszczający nigdy cesarza stanęli w bezpiecznej odległości, zadał Draiemu pytanie, które dręczyło Yannurisa już pół nocy i niemal cały dzień:

– Czy to prawda... Czy to prawda, że Veigan Du spotyka się z Margalem i resztą?

Zaufany sługa nie odpowiedział do razu. Obserwował lot jaskółek, zbierając myśli.

– Nie dziw się, panie – odparł wreszcie ze smutkiem. – Wojna wkroczyła na nasze ziemie i wielu szuka sposobu, aby ocalić głowy... Wiesz, że nie darzę Margala sympatią. Ale tobie nie udało się namówić Sanhela do udzielenia pomocy... Może oni zdołają? Podobno Almeidzi są gotowi użyć smoków... choć nie wiem, za jaką cenę...

Cesarz nie wiedział, co powiedzieć. Bezradne spojrzenie wbił w murawę.

– To oni mają smoki? – wykrztusił wreszcie.

Jego powiernik smutno skinął głową.

– Wychodzi na to, że wszyscy mają, tylko nie my, panie.

* * *

Narada, która odbyła się w pałacu następnego dnia, była w zasadzie formalnością. Spoglądając w oczy Margala, Yannuris ujrzał to właśnie, czego się spodziewał: wyrok śmierci. Baron triumfował.

– Być może zdołamy jednak uzyskać pomoc sąsiadów – mówił rozgorączkowany. – Nie karawany naukowe się liczą, tylko siła, prawdziwa siła w ręku, w broni... – zacisnął pięść zdecydowanym ruchem, jakby zgniatał jajko. Popatrzył na cesarza i dodał:

– Dlaczego nie mamy własnych smoków?

W istocie to nie Yannuris powinien na to pytanie odpowiadać. Ale przecież nie chodziło

tu o prawdę.

– Przestań! – rzekł gniewnie stary Songei, chociaż w jego głosie kryła się bezradność. Przed naradą zdążył zamienić z władcą kilka słów. W przygnębiająco szczerzy sposób przyznał, że nikt, ale to nikt nie wie, jak zdobyć smoka. Nawet kupcy pozostający na cichym zółdzie rodu pojęcia nie mają o istnieniu takich stworzeń, a cóż dopiero o używaniu ich do prowadzenia wojny. Archand nie będzie więc mieć smoków. A gdyby kiedyś, nie będą to raczej smoki Yannurisa.

Margal wzruszył ramionami, przenosząc pełne wzgardy spojrzenie na Songeia.

– Wiadomo, że Demarole będą stać po stronie władzy, choćby i nieudolnej... Przynajmniej póki ich ród trwa.

Było to wyzwanie rzucone tak jawnie, że cesarz nie miał wątpliwości, jakie czyny za nim pójdą.

Siedmiu pozostałych doradców milczało, a pośród nich Lisbet. Spoglądali wyczekująco na władcę.

Ten wiedział, że może wstać, trzasnąć pięścią w stół i wezwać straż, aby wyprowadziły Margalę. Miał jednak przeciwko sobie wszystkich, całą Radę poza jednym Songeiem. Mogło się więc okazać, że pod straż pójdzie on sam.

– Karawany kiedyś powrócą – powiedział, czując, że wypowiada słowa, które brzmią niczym testament. – Zaś Archand się obroni, jak zawsze.

* * *

Przed odebraniem sobie życia, Yannuris postanowił pożegnać się z kilkoma osobami. Zaczął od Draiego.

Ten wysłuchał go w skupieniu.

– A twoja księga, panie? – przypomniał. – Co zamierzasz z nią począć?

Cesarz uśmiechnął się smutno.

– Położymy ją na jakiejś półce, gdzie rzadko kto sięga, mój wierny sługo. Może obrośnie kurzem, a może nie... Może któregoś dnia ktoś ją otworzy i dowie się o moim istnieniu?

Popatrzył na swego powiernika.

– Od zawsze wiedziałem, że nie tylko mnie wspierasz, ale i pilnujesz. Więc teraz ci dziękuję, a jednocześnie wyjaśniam, co i dlaczego zrobię. Ktokolwiek zostanie nowym cesarzem, powinien to wiedzieć.

Drahi zawahał się lekko.

– Panie, ja nie służę Margalowi ani nikomu innemu, ja służę jedynie Archandowi... I jeżeli zechcesz, łagodniej odbiorę ci życie niż ty sam sobie... – powiedział, a na jego twarz wypłynęły rumieńce. – Wiem, nie powinienem...

Yannuris uniósł dłoń, powstrzymując dalsze słowa starego sługi.

– Powinieneś. Ale najpierw poszukaj gońca i wyjaśnij mu, że ma pojechać na Więzienną Górę i położyć księgę w bibliotece.

Sam w tym czasie poszedł po raz ostatni popatrzeć na swoją Oenne. Nie była niczemu winna, a traktowała starego męża lepiej, niż się mógł spodziewać i niż miał prawo oczekiwać po takim mariażu.

Spała przykryta cienkim pledem. Nie chciał jej budzić. Lecz gdy pochylił się, aby ją pocałować na pożegnanie, zamruczała sennie i otworzyła oczy.

– Tak? – spytała miękko.

– Idę... idę do ogrodu. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham – rzekł z wysiłkiem.

Uśmiechnęła się, pewno biorąc jego słowa za starcze gadanie. Znów ogarnęła ją senność,

z westchnieniem zamknęła powieki.

Władca wrócił do komnaty Draiego. Czekaając, obracał w palcach jeden z miniaturowych obrazów swej żony, przedstawiający małego pustynnego kota przyczajonego przy norze.

Sługa przybiegł lekko zadyszany, przerywając Yannurisowi rozmyślania.

– Gонец pojechał zawieźć księgę na Więzienną Górę, jak chciałeś – rzekł. – A ja... – zawahał się – ja jestem gotów, panie... Zrobię to szybko, nic nie poczujesz.

Cesarz skinął głową.

– A potem pójdę za tobą, mój władco... – dodał cicho Drahi.

Jego pan uśmiechnął się z niedowierzaniem. Długo patrzył na wiernego sługę, nim rzekł głosem, w którym obok smutku chyba można było usłyszeć nutę nadziei:

– Zatem ruszajmy.

*